

GDZIE TO



GDZIE

ZAGRAŁY TRĄBKI MYŚLIWSKIE?..

ORGAN TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO WOJEWÓDZTWA WILEŃSKIEGO

KOMITET REDAKCYJNY: BOLESŁAW ŚWIĘTORZECKI, Dr. Cz. KONECZNY, WŁODZIMIERZ KORSAK, MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI, JÓZEF BOLESŁAW ROBAKOWSKI

SPOŁECZNE I PAŃSTWOWE ZNACZENIE ŁOWIECTWA

(ODCZYT DLA NIEMYŚLIWYCH WYGŁOSZONY PRZEZ RADJO WILEŃSKIE)

Szczęśliwy byłbym gdybym wiedział, że wśród dzisiejszych szanownych słuchaczy moich znajdując się tacy, którzy wystuchali cierpliwie zeszłorocznego odczytu mego z działu „Łowiectwo“ na temat „Czem jest prawdziwe łowiectwo?“

Pamiętają oni może, że w odczycie moim starałem się zbadać do gruntu istotę łowiectwa — prawdziwego łowiectwa i wykazać, że nie jest ono ani bezmyślną, jak nawet chcą niektórzy, krwiożerczą i niedemokratyczną rorywką, ani przemysłem, ani wreszcie — sportem, lecz że mu się należy w rzędzie zajęć ludzkich miejsce osobne — honorowe i zaszczytne. Pamiętają może, jak w odczycie tym starałem się dowieść, iż łowiectwo wypływa jako z praźródła — z zaszczepionego atawistycznie instynktu łowieckiego — z owej przedziwnej „żyłki myśliwskiej“, z którą człowiek na świat przychodzi. Ten, kto tej żyłki nie posiada, nigdy prawdziwym myśliwym nie będzie. Nie będzie nim nuworysz, który przez snobizm naśladuje myśliwego. Nie będzie nim sportsman, jeżeli traktuje polowanie wyłącznie jako pole dla popisania się rekordami strzeleckimi.

A jednak my myśliwi, staramy się na każdym kroku przypominać wszem wobec i każdemu osobno, że łowiectwo jest ważnym zagadnieniem społecznym, że jest ono zapoznanem źródłem bogactwa narodowego, że krzewienie kultury łowieckiej jest działalnością niemniej doniosłą i twórczą, niż krzewienie kultury na każdym innym polu. Czy w tem stanowisku naszym nie tkwi przypadkiem niekonsekwencja? Czy ci wszyscy, którzy przyszli na świat bez żyłki myśliwskiej, nie mają prawa z uśmiechem pobłażania zarzucić nam przesady i powiedzieć wręcz:

— Zostawcie nas w spokoju. Nie jesteście myśliwymi i łowiectwo nie nas nie obchodzi. Skoro macie tę żyłkę myśliwską, to ją sobie pielęgnujcie, zrzeszajcie się, pracujcie. Nie przeszkadzamy, lecz żądamy, byście nam — niemyśliwym dali święty spokój!

W ten sposób, niestety, jeżeli nie mówi, to myśli dużo niemyśliwych.

Wykazać, że w podobnym rozumowaniu tkwi błąd niebezpieczny, że rozkwit łowiectwa jest problemem doniosłym dla społeczeństwa pragnącego uchodzić za społeczeństwo kulturalne, że rozkwit ten powinien być ambicją całego społeczeństwa, a nietylko pe-

wnej jego grupy — oto przedmiot i cel dzisiejszego odczytu.

Przyroda jest praźródłem mocy ludzkiej a łowiectwo — to ochrona przyrody! I w tem właśnie tkwi najważniejsze, moim zdaniem, bo ogólnospołeczne i państwowe znaczenie łowiectwa. Tylko ludzie nie orjentujący się kompletnie w zadaniach współczesnego łowiectwa twierdzić jeszcze mogą, że myśliwi zabijają żywe stworzenie, nie wzamian twórczego nie dając przyrodzie. Zwierzę niszczy kłusownik i pętlarz, a pomagają im: restaurator podający w swej jadłodajni zwierzę w

dwiej części na cele kulturalno-łowieckie. Tylko laik może mi zarzucić, że ochraniać żywe twory przyrody można niezależnie od łowiectwa. Zapewne, że każdy kulturalny członek społeczeństwa, może, a nawet, zdaniem moim, powinien należeć do Ligi Ochrony Przyrody, lub innej instytucji o celach pokrewnych, lecz któż potrafi poznać tę przyrodę lepiej od myśliwego? któż zwłaszcza potrafi ją więcej od niego pokochać? kto lepiej potrafi bronić ją przed zagładą i wyjałowieniem? Owa żyłka myśliwska, o której tylu niemyśliwych odzywa się z pobła-



Zabite kaczory, u dołu krykucha (Hryców).

czasie ochronnym, handlarz, skupujący skórki zwierzęcy upolowanej bezprawnie i oszczędna gospośnia ciesząca się, że jej się udało nabyć niezwykle tanio kuropatwę na rynku w grudniu lub styczniu — to jest ci wszyscy, którym my — myśliwi prawdziwi — wypowiadamy walkę bezwzględna — aż do skutku. Prawdziwy myśliwy pozwala sobie tylko na umiarkowany odstrzał zwierzęcy, a pozatem — studjuje i poznaje umiłowany przez siebie świat zwierząt dzikich, dostarcza mu pokarmu w zimy ciężkie otacza pieczą i broń przed cztero i dwunożnymi szkodnikami w czasie legowym, hoduje rozmnaża. Czyni to bądź bezpośrednio, jeżeli jest szczęśliwym posiadaczem własnego terenu łowieckiego, bądź pośrednio — zapisując się do Towarzystwa łowieckiego i regularnie wpłacanym datkiem pieniężnym zasilając fundusze Towarzystwa, które powinny iść w

niem lub nawet z ironją, jest właśnie potężnym motorem — zbliżającym człowieka do przyrody i uczącym kochać ją, cenić i ochraniać. Wszystkie państwa kulturalne a w nich większe miasta mają towarzystwa opieki nad zwierzętami. Każdy szanujący się obywatel jest członkiem takiego towarzystwa i nikt już dziś wątpliwości mieć nie może, że towarzystwa takie spełniają misję o doniosłym znaczeniu społeczno-moralno-wychowawczym. A wiemy przecie wszyscy dobrze, że towarzystwa opieki nad zwierzętami, pozostają dość często pod zarządem nieco sentymentalnym, otaczają pieczą konia katowanego przez woźnicę i psa dręczonego przez rakarza — pozostawiając faktycznie poza nawiasem swej opieki przebogaty świat zwierząt żyjących dziko, t. j. świat zwierzęcy. Sentymentalny członek tow. opieki nad zwierzętami oburza się (zresztą bar-

dzo słusznie) na maltretowanie konia, psa lub kota, jakoś nie wzrusza się nad dołą zajaca, skazanego na powolne kochanie w drucianej pętli wnykarza, nad losem kuropatwy złapanej w sidła w czasie ochronnym, nad przedwczesnym marnym końcem piskląt cietrzewich, dławionych przez kundla-włóczęgę. Człowiek taki gotów się nawet oburzać, gdy się dowie, że myśliwy nie zważał się zabić tego kundla w obronie zwierzęcy swego rewiru... Człowiek taki, nie wzrusza się, że ostatni żyjący na wolności żubr białowiecki doczekał się już w Polsce Odrodzonej haniebnej śmierci z rąk kłusowników, że zagłada grozi nielicznym już u nas łosiom i bobrom. — Uczyniłem tę małą dygresję w dziedzinie opieki nad zwierzętami swojskimi, by dać wyraz przekonaniu i głębokiej wierze, że w miarę zrozumienia przez społeczeństwo znaczenia, jakie dla ochrony przyrody ma prawdziwe łowiectwo, nadejdzie dzień, gdy każdy świadomy swych obowiązków członek społeczeństwa będzie członkiem towarzystwa kulturalno-łowieckiego nawet nie będąc myśliwym. Dam jeden żywy przykład, w którego świetle pozorny paradoks, że właśnie myśliwy, odbierający życie zwierzęcy, jest najbardziej powołany do ochrony tej zwierzęcy — nabierze mocy prawdy niezbitę. Faktem jest stwierdzonym, że tereny będące własnością myśliwych obfitują w zwierzęcy, gdy odwrotnie — tereny o podobnych a nawet lepszych warunkach naturalnych, lecz będące w posiadaniu osób, dla których wyraz „łowiectwo“ jest pustym dźwiękiem, są zwierzęcy prawie doszczętnie pozabawione. Same z siebie „pełne zwierza bory“ należą już do przeszłości. Myśliwy chcący mieć zwierzęcy musi być przyrodnikiem i hodowcą — musi się znać na potrzebach i obyczajach zwierza i musi umieć go pomnażać. Niemyśliwy albo wogóle nie interesuje się światem zwierząt dzikich, albo też ochronę tych zwierząt pojmując po dyktancku — i w jednym i drugim wypadku rezultat jest ten sam: zwierzęcy ubywa, gdy u sąsiada — myśliwego jest jej z roku na rok coraz więcej. Jest jeszcze jeden wzgląd bardzo ważny, dlaczego właśnie myśliwi są powołani do sprawowania zaszczytnych a trudnych funkcji ochrony dzikiej przyrody. Każdy człowiek jest w stopniu większym lub mniejszym materialistą, jest — używając wyrazu potocznego „interesowny“ t. j. nie bę-

dzie pracować z zamiłowaniem na żadnym polu, jeżeli włożony przez niego kapitał pracy nie przyniesie mu odsetek. Ludzie czystej idei należą do nadzwyczajnych wyjątków i dlatego przeciętnym idealistą nazywamy tego, który con amore pracuje dla dobra społecznego, pracuje bezinteresownie t. j. nie otrzymuje wynagrodzenia za swoją pracę, lecz jednocześnie praca jego przynosi mu pewne korzyści często tylko moralne, lecz korzyści, których dobrodziejstwa osobiście odczuwa. Właśnie na tem polega t. zw. zamiłowanie w pracy, a bez zamiłowania praca będzie zawsze mniej lub więcej sztuczna, mniej lub więcej jałowa. Zamiłowany myśliwy ochrania przyrodę w sposób fachowy a więc — najbardziej umiętny i skuteczny nietylko w platonicznym bądź co bądź celu przysłużenia się społeczeństwu i sobie, jako członkowi tego społeczeństwa, lecz i dlatego, że im goręcej będzie się opiekować zwierzyną, tem jej będzie więcej, tem częściej będzie miał on sam sposobność do przeżycia wznieszeń myśliwskich, tem więcej trofeów łowieckich przyniosą mu w przyszłości odnowione bogate w zwierzynę tereny.

Społeczne i państwowe znaczenie łowiectwa nie wyczerpuje się bynajmniej przez funkcję łowiectwa, jako ochrony żywej przyrody. Łowiectwo było, jest i będzie potężną dźwignią nauki — mianowicie: przyrodoznawstwa. Można by wysnuć całą ponuro-fantastyczną hipotezę na temat: jak wyglądałaby zoologia, gdyby łowiectwo nie istniało? Weźmy pierwszy z brzegu tom Brema. Niemał na każdej stronie znajdujemy cytaty z dzieł myśliwskich lub powoływania się na autorytety myśliwskie. A kto dostarcza muzeum i zwierzyńcom żywe i martwe okazy ze świata zwierząt? Myśliwi! Kto podpatruje i bada życie zwierząt dzikich? Myśliwi! Ileż wreszcie dzieł ściśle naukowych z dziedziny przyrodoznawstwa wyszło z pod pióra autorów — myśliwych... Nie dość tego: łowiectwo będąc, jak powiedziałem, potężną dźwignią nauk przyrodniczych, samo w czasach ostatnich staje się nauką. Łowiectwo pojęte jako włóczęga z flintą po polach „gdzie mur żaden, płot żaden nogi nie utrudza, gdzie prze chodząc przez miedzę nie pytasz czy cudza“ jest już dziś anachronizmem.

Dziś myśliwy, pragnąc zasłużyć na miano prawdziwego myśliwego, musi mieć zasoby wiedzy przyrodniczej teoretycznej i praktycznej — musi być chodzącą encyklopedją podręczną zoologii, balistyki, rusznikarstwa, tresury psów, hodowli zwierząt, przepisów prawno-łowieckich, subtelnych kanonów etyki myśliwskiej.

Jeżeli spytałem jakby wyglądały nauki przyrodnicze, gdyby łowiectwa nie było, to z większym jeszcze patosem mogę rzucić pytanie: ileż straciłaby literatura piękna, gdyby myśliwych nie było! Czy Józef Weyssenhoff nie będąc myśliwym napisałby swego „Sobola i pannę“ — ową perłę literatury myśliwskiej, którą zachwyca się bez zastrzeżeń każdy miłośnik rzeczy pięknej, choćby do strzelby i polowania miał wstręt wrodzony. Czy Sienkiewicz nie będąc myśliwym pojechałby wogóle do Afryki. — Czy świat podziwiałby jego „Listy z Atryki“ i „W Pustyni i Puszczy“? A „Zapiski Myśliwego“, Turgieniewa, które są przecie zapiskami myśliwego, a nie — dajmy na to — zapiskami członka tow. opieki nad zwierzętami. Czy byłyby do pomysłenia bez łowiectwa „Bajki“ Ejsmonda jak — ściśle naukowy a czytany jak najciekawsza powieść „Głuszc“ Świątorzeckiego albo „Pieśń puszczy“ Korsaka? A malarstwo? A Fałat, Henryk Weyssenhoff, Kamil Ma-

Ankieta w sprawie ochrony zajęcy

Ankieta nasza dobiega końca. Dała ona pion niespodziewanie obfity, zbudziwszy echa w różnych zakątkach Ziemi Wschodnich i zachęciwszy aż 11 myśliwych do zastanowienia się nad zatrważającym pytaniem: „jak ratować oplakane zwierzostany zajęcy?“

Niżej umieszczamy dwie ostatnie odpowiedzi na ankietę. **Jednej odpowiedzi nie drukujemy wogóle** ze względu na niepoważny ton, w jakim jest utrzymana. Czynimy to z sercem tem lżejszem, że autor tej odpowiedzi sam pisze w niej na zakończenie pod adresem komitetu redakcyjnego: „proszę nie zwracać mi głowy“. Łowiectwo też niewiele zapewne straci, że złote myśli tej odpowiedzi spoczną w koszu redakcyjnym, jeżeli powiemy Szanownym Czytelnikom, że autor podaje — jako środki mające ustrzec zajęcy przed zagładą — rozdawanie pozwoleń na broń myśliwską na prawo i lewo bez względu na posiadane tereny, pozwolenie na używanie trutek na lisy i t.p. Nieszczęsne, przerezerowane i zdziękowane zajęcy nazywa autor „naszymi wrogami“ niszczącymi drzewka owocowe... Szkoda, że autor nie zastanowił się, czemu na Zachodzie, gdzie zajęcy jest kilkadziesiąt razy więcej, niż u nas, nikt ich nie nazywa szkodnikami. Dlatego, że tam w zimy surowe i śnieżne właściciele łowisk dokarmiają zwierzynę, którą głód tylko zmusza do szukania pożywienia w pobliżu osiedli ludzkich.

Pan I. Koperkiewicz z Lidy pisze do nas w te słowa: Cel ankiety w dodatku do gazety „Słowo“ w sprawie zaniku wszelkiej zwierziny jest tak doniosły, że powinien w całym kraju obić się echem.

Jako stary myśliwy i fachowiec — leśniczy, pozwolę sobie dać następujące wyjaśnienie: Przedłużenie czasu ochrony dla zwierziny łownej, a nawet zupełne zakrycie, — zwierzyny nie przysporzy i da tylko to, że pętlarz i nocny kłusownik obficie się obłowi i zachęci go do tem gorliwszego uprawiania swego procederu. Wiem, że w całej tutejszej okolicy na polowaniach z naganką w tym roku zabijane było zaledwie po 2 zajęcy na terenach niby ochraniających i że nie jeden myśliwy nie zastrzelił przez sezon ani jednej sztuki, — zato chłopci po wioskach mają solone w beczkach zajęcy, po kilkanaście sztuk.

Łapią na pętle sarny lisy i zajęcy, strzelają w dzień resztki wiewiórek a nocami co się da, bo chociaż noce są bezksiężycowe, jednak na śniegu na bliską metę zabić można.

Strzelę chłopci mają dosyć kapiszonowe i odtylewki nie są rzadkością, zresztą z karabinów sami przerabiają srućki. Pozwolenie na prawo otrzymania broni, teraz otrzymują znacznie więcej niż w roku zeszłym, uzyskując tereny od swych wiosek i tak po kilku z wiosek brodzą gdzie się da, żadnych terminów nie przestrzegają i wogóle myśliwy taki o etyce myśliwskiej i słuchać nie chce.

W błędzie są ci Panowie idealisci którzy piszą o tem ze uświadomieniem społeczeństwa o nowem prawie dojdziemy do rezultatów według zaś mojej długoletniej praktyki i znajomości tutejszego ludu, dojdziemy daleko prędzej i skuteczniej jeżeli władze administracyjne nowe prawo stosować będą w całości i bezwzględnie. Tutejszy chłop obecnie śmieje się wesoło z jakiegoś tam nowego prawa o którym tylko słyszy i nocą jak wpiaru, poluje dalej — nawet z naganką w noc księżycowe, i mówi, że prawo dla panów. Skuteczniej byłoby uświadomić sołtysów wioskowych, wydać im instrukcję ochro-

ckiewicz, Włodzimierz Korsak? — Mogę śmiało ryzykować twierdzenie, że gdyby nawet rola łowiectwa ograniczyła się do tego przepięknego królewskiego daru, który genjusz łowiecki złożył do skarbnicy piękna w postaci arcydzieł literatury i sztuki, to jużby wystarczyło, by najbardziej zajadły przeciwnik łowiectwa zastanowił się, że jednak tkwi w tem zapoznawaniem łowiectwie jakaś siła twórcza, wnosząca do społeczeństwa walory istotne, niefałszowane.

W odczycie moim p.t. „Czem jest prawdziwe łowiectwo? dowodziłem uparcie, że łowiectwo nie jest sportem, jak to mylnie mniema wielu laików bo brak jest łowiectwu dwóch istotnych cech sportu: momentu współzawodnictwa i momentu bezpośredniego dążenia do odrodzenia fizycznego społeczeństwa. Nie znaczy to jednak, by łowiectwo nie miało ze sportem wielu punktów stycznych. W dobie obecnej

now zwierzyny na swoich terenach, pod osobistą odpowiedzialnością, przytem aby soltys zimą, na śniegu, zdawał co tydzień sprawozdanie do władz policyjnych a przytem od powiadał osobiście jeżeli kto inny wykryje pętlarstwo lub kłusownictwo na jego terenie i gdyby tegoż soltysa wziąć pod silną rękę — tak jak Niemcy robili, toby trochę pomogło, a przytem żeby policja chociaż jest obciążona na innemi sprawami zposterunku wyznaczyła jednego na gminę funkcjonariusza, aby dopilnował odbywający się teraz jawnie na targach handel skórkami zwierziny, oraz aby rewidować wozy żydów skórczarzy i szmaciarzy, którzy w swych nieopętnych wozach między szmatami przemycają od miasta do miasta zwierzynę, skóry, bibułę komunistyczną i różne rzeczy skradzione w okolicy, — toby też pomogło. Jeżeli kłusownik nie będzie miał możliwości łatwego zbytu skór i gdzie się z nią pokaże był za to prześladowany, to polować mu się odepcha i poszuka pracy a dziś niema komu rabać, dREW bo duży procent ludności poluje.

Wszelkie zatem pouczania i łagodne środki stanowczo nie pomogą a tylko grzywny i kara — nie pouczeniem Niemcy w Poznaniu i Austriacy w Czechach, tylko grzywnami dochowali się pięknych i dochodnych rezultatów w zwierzostanie i uszanowania cudzej własności.

Jakkolwiek przez 30 lat przedwojennych służąc prywatnie kłusownikom pardonu nie dawałem, jednak wrogów za to nie miałem, to się okazało w latach ogólnych strajków 1904 - 5.

Wnosząc z tego jaki postęp robi w tych czasach u nas kłusownictwo i pętlarstwo, przypuszczam, że niezadługo zajęcy i sarna istnieć przestaną, tak jak kłusownicy wybili do nogi żubry w Puszczy Białowieskiej i to tylko przez m-c grudzień, styczeń i połowę lutego 1918 - 19 r., o czem wiem dokładnie bom w lutym 1919 objął tam stanowisko państwowego leśniczego.

Pan St. Alchimowicz, członek T-wa Myśliwsk. w Solach odpowiada na naszą ankietę w ten sposób: Poluję od 17 lat swego życia, a dziś mam już 52 lata i pamiętam dobrze, przed wojną było daleko więcej myśliwych i kiedy wychodziłem na polowanie psy ruszały do trzydziestu zajęcy, dzisiaj tego już niema. Przyczyną tego jest bezwarunkowo pętlarstwo i kłusownictwo. Mojem zdaniem jedynie wytepienie kłusownictwa i pętlarstwa może się przyczynić do poprawienia oplakanego zwierzostanu zajęcego, co się da zrobić przez zastosowanie w miarę możliwości najsurowszych kar. Bo chłop, który stawia do 400-tu pętlę rocznie i wydusza w podobny sposób kolosalną ilość szaraków, jest w stanie ponieść karę pieniężną w sumie 5 zł., gdyż sam słyszałem, iż złapani na gorącym uczynku ludzie stawiający pętle zapłacili tylko po 5 zł. grzywny.

W wysokim stopniu także do wytepienia przyczynia się walęsanie się kundli po polach, szczególnie na wiosnę, bo w tym czasie młode zajęczki są pożerane przez zgłodniałe psy. Gdyby nawet całkowicie zamknięto polowanie na zajęcy na czas pewien, a nie ścigano surowiej kłusownictwa i pętlarstwa to jestem przekonany że toby żadnego skutku nie odniosło.

W następnym dodatku łowieckim (majowym) podamy krótkie zestawienie wyników naszej ankiety.

wszystkie kulturalne państwa i społeczeństwa żyją pod znakiem sportu. Po ważny odsetek wysiłków twórczych państwowo - społecznych skierowany jest na odrodzenie fizyczne obecnych i przyszłych pokoleń. Zwycięzcy na olimpiadach wnoszeni są na piedestał bohaterstwa narodowego. I słusznie, bo sport ma pierwszorzędne znaczenie państwowe i społeczne. Łowiectwo, spełniając postannictwo szczytne ochrony Przyrody i będąc ważnym pomostem, jak to już wskazałem, przy zdobywaniu wiedzy i powstawaniu dzieł sztuki, też ma duże znaczenie państwowe - społeczne. I to jest jeden punkt stychny łowiectwa i sportu. Lecz to nie wszystko. Jakkolwiek łowiectwo nie dąży bezpośrednio do rozwoju fizycznego społeczeństwa, mając inne cele bezpośrednie — zdaniem mojem b. ważne i b. szczytne, to jednak łowiectwo — prawdziwe łowiectwo — z jego obcowaniem na łonie natury,

z jego przenikaniem w głąb przyrody, która — powtarzając słowa Józefa Weyssenhoffa — „dzika jest tylko ze stanowiska kultury ludzkiej, lecz mądrzejsza od wszelkich dzieł ludzkich“ — z jego szkołą trudów, niewygód, cierpliwości, wytrwałości, poświęcenia się — z jego nauką pogładową przyrodniczą i ludoznawstwa — z jego subtelnym kodeksem etyki myśliwskiej — jest z jęciem ludzkim dążącym cudotwórczo na system nerwowy, hartującym ciało i duszę, odmładzającym i kojącym zużyte w gorączkowym tempie życia współczesnego nerwy, a przeto — spełniając również — obok sportu i niezależnie od niego — piękną i ważną misję fizycznego i moralnego wychowania społeczeństwa.

O łowiectwie, jako o źródle bogactwa narodu t.j. o ekonomicznem znaczeniu łowiectwa nie będę dziś mówił dla braku czasu. Wobec zastraszającego małej ilości zwierziny w stosunku do naszych dużych obszarów wschodnich wyrazy „ekonomiczne znaczenie łowiectwa“ brzmieć mogą groteskowo. To też jest to u nas „muzyka przyszłości“ — ideał, do którego jeno dążyć mu simy powoli i stopniowo. Lecz pamiętać o tem trzeba, zwłaszcza zaś trzeba pamiętać, iż są państwa na zachodzie, gdzie dochód z ubitej zwierziny stanowi rubrykę w bilansie gospodarstwa kraju.

Oto — w zarysach ogólnych zagadnienie, dla których łowiectwo powinno być rozumiane jako ważne zagadnienie — społeczne i państwowe. Na brak zrozumienia państwowego znaczenia łowiectwa w Polsce nie mamy prawa narzekać. Czynniki rządzące dały ustawę łowiecką, nowożytną i surową, która naprawdę z niejednym spotkała się u nas zarzutem, między innymi — z zupełnie niesłusznym zarzutem niedemokratyczności, a która jednak przez sfery myśliwskie kulturalniejszych bądź co bądź od nas państw zachodnich uznana została za najlepszą jak dotąd, ustawę łowiecką na świecie. Ze społeczeństwem naszym jest trochę gorzej — nie tak źle jednak, jakby się zdawało. Rok przeszło minął od dnia ogłoszenia nowego prawa łowieckiego. Rok ten był zarazem okresem niezwykle intensywnej propagandy prawniczej łowiectwa — propagandy kultury łowiectwa, zarazem w Polsce całej, jak i u nas — w Wileńszczyźnie. Propaganda ta już wydała plony dodatnie. Drobnym przykładem niech będzie fakt, który notuję z prawdziwą radością, że w naszym kulturalno - bezterenowym Tow. Łow. Wojew. Wil. mieliśmy dn. 1 stycznia rb. na ogólną liczbę 114 członków — **4-ch członków nie-myśliwych**, którzy nie polują nigdy, lecz którzy chętnie wpłacają składkę członkowską w rozumieniu ciężających na kulturalnym członku społeczeństwa obowiązków. Ten odsetek (3 z ułamkiem) nie jest pozornie duży, lecz gdy zważymy znaną abnegację naszego społeczeństwa w stosunku do spraw łowieckich, gdy zważymy, że wielu jeszcze myśliwych nie poczuwa się do obowiązku należenia do zrzeszeń łowieckich, to rozumiemy, że ci członkowie nie-myśliwi są prawdziwą chlubą naszego młodego jeszcze Towarzystwa. Nie mając możliwości wyrzycić ich ofiarnych nazwisk złotem zgłoskami na marmurze pozwolę sobie wymienić dziś te nazwiska w porządku alfabetycznym — ku upamiętnieniu ich zasług, a ku wielkiemu wstydowi tych pp. **myśliwych**, którzy do żadnego towarzystwa łowieckiego nie należą: są to pp. Eugenjusz Chełchowski, Jan Parczewski, Władysław Proszyński i Kazimierz Protassewicz.

Cześć im — współtowarzyszom z pod znaku św. Huberta!

Michał K. Pawlikowski.

SZCZĘŚLIWE NABOJE

— Słyszeliście? Jutro p. Kucewicz urządza obławę na wilki. Zaprosił nas wszystkich z „Kółka Myśliwskiego“. Jedziemy rano.

Powszechny jubel. Posypały się pytania... Dykteryjki... żarty.

Ze to człek z dziada pradziada z myśliwych rodu się wywodzi, już czuję opanowującą mnie gorączkę, a jednocześnie nie mogę się powstrzymać od burknięcia:

— E, kiedyż pewnie ja znowu nic nie zobaczę.

— Bo ty Misiu nie masz szczęścia, — odzywa się nasz baonowy Nemrod, pegromca zwierzyny i szczęściarz, któremu się niedawno udało ślicznego lisa położyć. Ty stanowczo nie masz szczęścia.

Strzelasz dobrze, ale zwierzyna na ciebie nie wychodzi.

— Ciebie szuka — odpowiadam z przekąsem, ale w duchu przyznać muszę rację kochanemu Staszce, bo istotnie ostatnimi czasy brak mi było **szczęścia** mimo to jednak wieczór upływa mi na rzetelnym przygotowaniu do jutrzejszego festynu. Bo prawdziwym festynem jest dla mnie, po pięcioletnim pobycie w Wielkopolsce gdzie o wilkach nikt już nie słyszy, ta jutrzejsza wyprawa.

Nazajutrz od wczesnego rana ruch w Trokach: „KOP na wilki jedzie!“ Tu i tam błyskają w oknach światełka ciekawe twarze mieszkańców tu i tam z mroków nocy się wychylają.

Ukradkiem, bez pożegnania z moimi paniami (matką i żoną) z domu wybiegam żeby broń Boże, życzenie „powodzenia“ nie dotknęło, co, jak twierdzą tradycje myśliwskie, zdawiadawna właśnie niepowodzenie sprawca. Jeszcze chwila i już w cieplych kożuch owinięty jestem z kolegami w saniach.

Ranek cichy. Po świeżym nocnym śniegu droga hopna, ale za to znać doskonale w lesie świeże ślady zajęcy i lisów, a miejscami nawet, choć dość rzadki, ślad wilka. Dzień się już robi. W godzinę jesteśmy na miejscu zbiórki w leśniczówce, skąd po serdecznym przyjęciu i wychyleniu paru kolejek „dla rozgrzewki“ jedziemy do lasu p. Kucewicza, gdzie ma się odbyć obława. Dla odegnania prześladowającego

mnie od pewnego czasu „pecha“ przychodzi mi pewien fortel do głowy: Prostanawiam pożyczyc parę naboju od naszych szczęściarzy. Kolega Staszek daje mi dwa śrutowe a pan major kwa termistrz — lotki.

Nabijam moją belgijkę. Stajemy. Na ganka niezbyt liczna. Spory kawał lasu obłożono, a strzelb trochę mało: dziewięć zaledwie, licząc w to i gajowego.

Wódz naganki, stary wyga, sekretny kłusownik, którego na gorącym uczynku nigdy nikt dotąd przyłapać nie potrafił, zbliża się do mnie i szepcze poufnie:

— „Musi wyjdzie“ wilk, tam na prawo, albo prosto na pana...

— No, no — powiadam — zobaczymy.

Zanim jeszcze stanowiska nasze objeśliśmy padł parol:

— Tylko do wilków strzelać wolno, tylko do wilków, pamiętajcie panowie!

Staję pod grubą sosną, do pnia jej przywieram strzelbę do boku czule przy ciskam. Już się zaczęło. Naganka podstępnie cicho rusza... Las milczy.

W pierwszym miocie jakoś nic. W drugim widziano wprawdzie kozła i kilka szaraków, lecz parol obowiązywał. Nie wypadało strzelać. Krzywią się nam miny. „...Co u licha!“

Dopiero w trzecim, gdy się naganianacz już dobrze ruchem rozgrzali,

słyszę strzał, jeden, drugi... potem z kolei dwa.

Sąsiad mój z prawej strony, żeby wilka przez linję strzelców nie wypuścić, strzela jak na wiwat o całych paręset kroków i woła: „Wilk, wilk, pilniej...“

Mocniej się do sosny przytulam, niewidzialnym uczynić się staram mój niewygodny 1 m. 84.

Tam... Już go widzę. Wielki ciemnobury, poprzez haszcze kłusem sunie. Ogon ma spuszczone, łbem prawie ziemi dotyka. Śnadh mnie nie dostrzegł. Zbój stary, bo wprost na mnie na sztych idzie. Opanowuję gorączkę: jeszcze go nieco bliżej na pewny strzał do siebie dopuszczam i wygarniam „zajęcym“ śrutem.

Wilk przysiadł, w prawo się zatoczył, i w kilku susach przez linję skończył. Nie spodziewał się ataku z tej strony.

A ja już z drugiej lufy lotkami poprawiam. Na wszystkie cztery łapy się zwałił — jak należy w komorę i łeb trafiony. Stoję dalej i czekam, a gdy już bliżej nagankę słyszę, podchodzę do wilka z boku. Jeszcze łeb podniosł, kły wyszczerzył... ale ma dość...

Po chwili schodzą się myśliwi. Idzie i Staszek.

„A co, był... był wilk? Gdzie?“ pyta gorączkowo.

ODEZWA

DO LEŚNIKÓW I ŁOWCÓW RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

W dniu obchodu w Spale — Dzieśięciolecia Niepodległości Polski — w gronie leśników pracujących na terenach „Reprezentacyjnych polowań“, powstała myśl złożenia hołdu Panu Prezydentowi i uczczenia tego hołdu założeniem w Spale „Museum Flory i Fauny Polskiej“.

Dla zrealizowania powyższej myśli wyloniony został komitet wykonawczy i ten rozpoczął już swoją działalność.

Dzień „Leśnika i Łowcy“ wyznaczony został na 29-VI 1929 r.

Komitet zwraca się z gorącym apelem do ogółu leśników i łowców, oraz sympatyków w dziedzinie tych zbiorów, o jaknajszersze poparcie w oka-

zaniu pomocy, która dałaby szybki i pożądany rezultat w zrealizowaniu powyższych zamierzeń.

Jednocześnie komitet prosi o organizowanie lokalnych komitetów, zadaniem których będzie stworzenie delegacji na przyjazd do Spawy dn. 29-VI 1929 r., oraz zbieranie eksponatów dla utworzonej delegacji.

W celu otrzymania bliższych informacyj proszę zwracać się pod adresem: poczta Tomaszów Mazowiecki, Nadleśnictwo Glinna, nadleśniczy inż. Józef Gomółko.

P. S. Wszystkie pisma codzienne i perjodyczne proszone są o przedrukowanie niniejszej odezwy.

RZADKI OKAZ

Miałem zapewne wówczas już kilkanaście lat. Marzeniem moim w tym okresie życia była „prawdziwa“ strzelba, gdy tymczasem ciągle jeszcze obywać się musiałem sztucerkiem najmniejszego kalibru. Ojciec mój miał swój specjalny pogląd na tę sprawę i absolutnie nie pozwolił sobie wytomaczyć, że uczeń czwartej, czy piątej klasy gimnazjalnej, to już nie mały bąk!

Ha trudno, ha trudno! Trzeba było pogodzić się z losem, ograniczając swe zapęły łowieckie do pomniejszej zwierzyny jak naprzykład: szczury, których moc, notabene było w stajni folwarcznej, wróble, śmieciuski i t. d. i t. d.

Na t. zw. „prawdziwych“ polowaniach, na które nierzadko mnie ojciec zabierał, chodziłem za nim, dźwigając w najlepszym razie zwierzynę przez niego upolowaną i narażając się na mocno lekceważące spojrzenia „Rapsa“, czy innego towarzyszącego nam wyzła, jeśli sam považyłem się go zachęcać do „szukania“.

Nie chcę tu już opisywać upokorzeń, jakich się w tych warunkach doświadczało, gdy przypadkiem spotkałem na polowaniu zimowem rówieśnika, lub kolegę z ławy szkolnej, z dumą dźwigającego jakąś starą „dwukurkę“ szesnastego, czy nawet dwudziestego kalibru — rzecz jasna, że w takim wypadku robiło się „bonne mim au mau-

vais jeu“, ale w duszy, to radby się „człowiek“ ze wstydu pod ziemię zapasać!

W tym to właśnie czasie, zimą, urządził ojciec polowanie na lisy, obiecując, że zabierze mnie ze sobą, ciągle nistęty jeszcze tylko jako bierną asystę. Specjalnie lubilem tego rodzaju polowanie, więc z radości zapewne przez tydzień, poprzedzający tę ważną chwilę, spokojnie sypiać nie mogłem.

W ziemi płockiej, gdzie polowanie, które opisuję miało miejsce, na terenach leśnych, tak zresztą jak i tu na Wileńszczyźnie, poluje się wyłącznie z naganką, a więc: równoległe do linji myśliwych na odległości paruset metrów rozciąga się linję naganianaczy, którzy napędzają zwierzynę na nieruchomo stojących myśliwych.

Pogoda w dniu polowania dopisała. Nie było więcej, jak 5—6 stopni mrozu. Nocą spadł niewielki śnieg; wiatr przycichł zupełnie, a słońce roziskrzyło biel śnieżną.

Myśliwych zjechało z sąsiedztwa dziesięciu. O dziewiątej rano już pierwszy gon się rozpoczynał w lesie.

Stałem za ojcem cichutko na stanowisku. Zdawał dochodziły nas odgłosy, oznaczające, że naganianacz ruszyli. Bacznie wpatrywałem się w gęstwinię leśną. Lada moment mógł się ukazać spłoszony lis. Ktoś strzelił na prawem skrzydle, i prawie jednocześnie mignęło w krzakach przed nami żółte futer-

ko lisa, pędzącego kilkadziesiąt kroków od nas, równoległe do linji myśliwych. Ojciec mój nie zdążył nawet podnieść fuzji do ramienia, a lis już był daleko. Za chwilę usłyszeliśmy strzały na lewem skrzydle, które nam zwiastowały, że lis albo leży, albo... poszedł dalej. Nagle trzask łamanych gałęzi i o jakieś trzydziści kroków wysunął się drugi lis. Nie zauważył nas w pierwszej chwili; stanął, podniósł łapkę przednią, nastawił swe czarne, spiczaste uszki, rozejrzał się bystremi oczkami. Trwało to wszystko zresztą sekundę. Ojciec szybko wymierzył, ale niestety lis jeszcze szybciej się zorientował, uszy stulił, wyciągnął się i, nim strzał huknął, zginął w gąszczu.

Nie mieliśmy najwidoczniej szczęścia dnia tego, bo do południa nie już na nas nie wyszło, gdy zaś reszta myśliwych upolowała ogółem czterech, czy pięciu lisów.

W czasie przerwy południowej, ojciec był w nienajlepszym humorze, nadrabiając miną, by sprostać obowiązkowi uprzejmego gospodarza. Oczywiście cała wina spadła na mnie, gdyż to ja rzekomo lisy płoszyłem, chociaż Bóg mi świadkiem, że stałem przez cały czas na stanowisku, jak trusia i wogóle zachowywałem się wzorowo.

Po śniadaniu pierwszy gon już się miał ku końcowi. Na nas i tym razem nic nie wyszło. Naganianacz się zbliżali.

— Ot, leży — odpowiadam od niechcienia. Szczęśliwe były te pożyczone naboje. I tak, bez wielkiego mozółu, zo stałem królem polowania, bo, chociaż później gajowy jeszcze drugiego, znacznie już mniejszego wilka zabił, cztery przez linję strzelców, lub bokami nam uszły. Za mało strzelców było.

Mój wilk, stary pies, około 50 kilo ważył, był z gatunku „koniuchów“ — istotnie wspaniały okaz. Sto złotych mi za skórę na miejscu w Trokach ofiarowywano. Ale, choćby się zdały na popelnienie chudego budżetu, jednak jakże tu było taką sztukę w świat puścić. Podeliberowaliśmy z panią żoną, przywołało się zucha z kompanji który zdarł znakomicie skórę i powędrowała do Wilna w ręce p. Łodzińskiego, mistrza nad mistrzami w swoim zawodzie, który się nie mógł nachwalić, widząc tak piękny okaz. Ładny będzie dywan i miła myśliwska pamiątka. Nazajutrz po obławie gdy mój wilk do drwalni został przetransportowany, cały nasz bataljon pod moimi oknami przedefilował. Z początku pojedynczo, potem po dwóch, trzech, nareszcie gro madkami do wrót cisnęli się przypatrzyć. Nasz Box, piękny pies z gatunku wilków, ulubieniec i wierny przyjaciel, baczenie się tym odwiedzinom przyglądał, nie oponując wcale. Najwidoczniej rad był też z mego triumfu. Od pierwszej chwili, gdy ubitego wilka zobaczył, nie było ani wielkiego ujadania, ani grozy, ani niepokoju. Kilka ostrych szczeknięć zaledwie. Potem na widok trupa pogardliwe, lekceważące warczenie. Znac, że rozbójnika i złodzieja rozpoznął w tym dalekim swoim kuzynie. Zanim jeszcze z wilka skórę zdjęto, ordynans mój Józef, kaliszczanin, który niebawem już do cywila ma odejść, przychodzi do mnie i, czapkę mnąc w rękę, prosi: Panie poruczniku, żeby to pan porucznik zechciał się ze mną i z Frankiem moim przyjacielem przy tym wilku „sfotografować“... Niechby tam u nas w domu zobaczyli, jakie „my“ tu bestje furt „strzelamy“...

Śmieję się i naturalnie zgadzam. Powędrowała gdzie w kaliskie pamiątkowa „fotografja“ i wisi tam już zapewne na ścianie na dowód bohater-skich czynów obecnie już byłego „kopisty“.

Michał Świętożrecki.

Znow zatrzeszczały gałązki przed nami i jakieś ciemne stworzenie ukazało się naszym oczom. Ni to lis, ni to pies — z budowy przypomina lisa, natomiast barwa futra dziwnie szara, prawie czarna. Ojciec zdecydował, że to pies, a że gon się kończył, więc chcąc „kundl“ nauczyć, by nie „szwendał“ się w czasie polowania, by nie polował na własną rękę, by wreszcie na przyszłość nie wprowadzał w błąd przyzwyczajonych, a nieco podrażnionych myśliwych, — ojciec mój z całą pasją wymierzył i celnym strzałem na miejscu położył biedną psinę, odwracając się sam w inną stronę. Żal mi się szczerze zrobiło tego kudłatego „Zuczka“, czy „Kruszka“, który tak marną śmiercią zginął, ale prawo myśliwskie jak i prawo wojny jest niestety czasem bezwzględne.

Naganianacz wciąż się zbliżali. Trzeba trafił, że jeden z nich wystrzelił w tem samym miejscu, gdzie „poległ“ biedny piesek, potknął się nieomłoto o niego, ale że zabita psina wydała mu się widocznie dziwne niesamowitą, więc na wszelki wypadek chwycił ją za ogon i wyciągnął na drogę, gdzie już się wszyscy schodzili.

Skorośmy się bliżej przyjrżeli stworzeniu, któreśmy z ojcem wzięli za całym pospolitego psa — sensacja! Był to wspaniały, srebrny lis.

J. B. Robakowski.

Wilki

Zawiadomienie T-wa Myśliwskiego w Wilejce brzmi: „polowanie na wilki dnia 10. III. w lasach majątku Pokucie gminy Krzywickiej odjazd 10. III. godzina 3. m. 15 pociągiem do stacji Krzywice, następnie kołmi przysła-nemi przez państwo Kamięńskich do majątku Pokucie“.

Po telefonicznym porozumieniu się, dowiaduję się że część myśliwych wyjeżdża pociągiem wieczorowym 9. III. dla zbadania sytuacji, postanawiam je chać z rana z kilku naszymi członkami, wobec czego sporządzam niezbędne sprawunki jak również oglądam broni i amunicję.

Po spożytej kolacji do łóżka, budzik nastawiony na 2.30 — zdąży na pociąg i z tem przekonaniem zasypiam.

Widzę las, stanowiska, chorągiewki, naganę i tropy wejściowe wilków. Raptem z tego wszystkiego słyszę brzękanie karabinu maszynowego nad uchem i nie mogę zdać sobie sprawy co się dzieje — nie! to nie karabin maszynowy, lecz budzik brzęczy oznajmiając że już czas. Zapalam papierosa i lampę i zaczynam się ubierać. Toaletta jak zwykle niedługa i w przeciągu 15 minut byłem gotowy i jazda do pociągu.

Po drodze zajeżdżam do znajomego porucznika — myśliwego, lecz zastaję go w łóżku, po rozbudzeniu konstatauję, że jeżeli on nie będzie gotów za kilka minut to się spóźnimy. Pozostawiam go z tem że przysyłę doróżkarza, a sam pojedę na stację i wykupię bilety kolejowe.

Po przyjeździe na stację dowiaduję się, że pociąg spóźnił się z powodu zasp śnieżnych.

Na stacji z myśliwych nikogo — miałem wrażenie, że wszyscy śpią najlepiej w domu. Przyjeżdża nareszcie porucznik, jednocześnie nadchodzi pociąg w którym spotykamy jednego naszego myśliwego zdążającego również na polowanie.

W rozmowie wyjaśniamy, że prawie wszyscy pojechali pociągiem południowym w sobotę.

Jedziemy we trójkę. Ze stacji Krzywicz udajemy się kołmi do majątku Pokucie i za jakieś półtorej godziny jesteśmy na miejscu, gdzie dowiadujemy się że całe nasze towarzystwo, doskonale zabawione udało się na wypoczynek o godzinie piątej.

Postanawiamy rozbudzić i nie tracąc czasu wyruszyć do lasu, co nie tak łatwo nam się udało, bo niewyspani ociągali się ze wstawianiem z ciepłych łóżek, dopiero właściciel majątku pan Kamięński przyszedł nam z pomocą po wiadomością, że tej nocy we wsi Osowo odległej o kilometr, wilki porwały psa i że widziano rano wilka pod lasem gdzie miało być polowanie.

Taka wiadomość podziałała wprost elektryzująco: w przeciągu zaledwie paru minut wszyscy byli na nogach.

Po śniadaniu zajęliśmy konie i pojechaliśmy do lasu, gdzie już otropiono wilków i przystąpiono do zamykania ostępu sznurami.

Stanęliśmy na stanowiskach, lecz czekać wypadło bardzo długo, w dodatku jeszcze silny północny wiatr, że śnieżycą przejmował przez futra. Naganka zaś miała ruszyć dopiero po zakryciu ostępu sznurami na dany znak t. j. strzał przez gajowego, więc czekać wypadło blisko 2 godzin, raptem zelektryzował nas daleki i głuchy strzał, co oznaczało, że pędzenie rozpoczęło.

W jednej sekundzie fuzja była już w ręku i wpatrywałem się w gęstwinę. Czekałem dość długo, tylko zdala

DZIAŁ PRAWNY.

Przypominamy, że w „Dziale Prawnym“ dodatku łowieckiego umieszczane są najważniejsze wiadomości z prawodawstwa łowieckiego oraz odpowiedzi na zapytania pp. myśliwych w sprawach wykładni i praktycznego stosowania poszczególnych przepisów prawa łowieckiego. Zapytania należy kierować listownie pod adresem: Wilno, Urząd Wojewódzki, M. Pawlikowski. Osoby nadsyłające znaczki pocztowe na odpowiedź, otrzymują odpowiedzi listownie niezależnie od ich umieszczenia w „Dziale prawnym“.

— **Pani Z. P. w Wilnie.** Niejednokrotnie w prasie wileńskiej ukazywały się alarmy z powodu bezmyslnego tępienia gawronów w obrębie „Wielkiego miasta“ Wilna, zwłaszcza zaś — na Zwierzyncu. Tępienie to polegało zarówno na niszczeniu gniazd gawronich, jak i na „polowaniu“ na te ptaki. Podobno nawet młode gawrony wędrowały potem do restauracji wileńskich, gdzie niemi, jako „słonkami“ raczono naszych regionalnych gastronomów. Nie od rzeczy więc będzie przypomnieć, że w myśl prawa łowieckiego z dn. 3.12. 1927 r. wszystkie ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi — gołębia rzy, krogulców, wron i srok objęte są ochroną od dnia 1 lutego do dnia 15 sierpnia. Ochrona obejmuje więc i gawrony, co zwłaszcza aktualne jest w obecnej porze wiosennej, godowo — lęgowej, gdy chmury tego ptactwa krążą nad sosnami zwierzynieckimi, nęcąc łatwością strzału niewybrednych „myśliwych“. Strzał do gawrona jest w obrębie miasta przestępstwem potrójnym: 1) polowaniem w czasie zakazanym, 2) polowaniem na grutach niebędących obwodem łowieckim 3) zakłóceniem spokoju publicznego. Stusnie sz. pani zauważa, że nie tylko policja, lecz i wszyscy p.p. myśliwi prawodłowi zwłaszcza zaś pp. członkowie zrzeszeń łowieckich powinni nie dopuszczać, by w rb. — w drugim roku obowiązywania nowej ustawy łowieckiej powtórzyło się bezmyślne tępienie tych pożytecznych ptaków.

M. P.

dochodzą odgłosy naganki i przez linję przechodzi w galopie defilada w postaci sześciu sarn, w tem dwa rogacze, których puszczone bez strzału, kilka zajęcy zaniepokojonych wyniosło się z miotu, niebawem zaczęły przeciągać sroki, sojki, — co wskazywało, że naganka się zbliża, wilków wciąż nie było. Miałem wrażenie, że może wyszły przed zaciąganiem sznurów, lecz wtenczas byłby meldunek gajowego — ponieważ tego nie było więc muszą być.

Ogarnia mnie przeczucie, że będę za chwilę strzelacz — rzuca się jednocześnie pytanie wilk, czy lis? Wpatruję się w gęstwinę jeszcze pilniej.

Wtem słyszę w prawo od siebie sapanie i za chwilę z za złomów wypada wilk. Przystanął poza krzakami chcąc zbadać sytuację i przyczynę niepokoju co go wygonił z legowiska. Broń jest przy boku — wypatruję wilka, lecz ten stoi wciąż i nasłuchuje. Strzelać, czy nie? — postanawiam, że tak. Pada strzał, lecz nie w wilka, a w drzewo, które go częściowo zakrywa. Widocznie biedaczysko straciło orientację, bo pędzi mi pod nogi, dopiero drugi strzał na komorę wstrzymał go na miejscu. Zrulował jak zajęc celnie trafiony na komorę, podniósł ogon na dwunastą w południe i z zadowolaniem lekkiej śmierci kilkakrotnie nim pomachał i wyzionął ducha.

Znowu nastała cisza, lecz przerywa ją strzał na numerze 5-ym i znowu cisza, — tylko odgłos naganki coraz wyraźniejszy. Pada strzał na pierwszym — cisza. Może już trzy sztuki leżą na rozkładzie — nie, nie może być, bo po strzałach słyszę, że są to strzały nie rulujące zwierza, chociaż strzał na 1-ym podobny jest do trafionego, lecz niebardzo.

Po niedługim czasie pada strzał na

Z Towarzystwa Łowieckiego Woj. Wileńskiego.

Zarząd Tow. Łow. Woj. Wil. zwraca się do tych Szanownych Członków, którzy dotąd składki członkowskiej (17 zł.) na rok 1929 nie opłacili, o łaskawe jej uiszczenie. Składkę należy bądź przesłać przekazem pocztowym na imię p. Teresy Jundziłł, (Wilno, Ofiarna 2 m. 16), bądź wpłacić do P. K. O. Konto Nr. 81352 (właściciel konta „Towarzystwo łowieckie Województwa Wileńskiego“).

Jak już pisaliśmy w marcowym dodatku łowieckim, walne zebranie Tow. Łowieckiego Woj. Wileńskiego odbędzie się 29 maja r. b. O miejscu i godzinie walnego zebrania nastąpi zgodnie z par. 28 statutu osobne ogłoszenie w „Słowie“. Jakknajliczniejszy udział P.P. Członków w tem walnym zebraniu jest bardzo pożądany, ze względu na doniosłość kwestyj, które mają być poruszone. M. inn. na porządku dziennym będzie — wybór wiceprezesa (na miejsce ś.p. Zygmunta Węławowicza), zmiana niektórych postanowień statutu (np. nadanie zarządowi prawa kooptacji) i t. p.

Zarząd Towarzystwa Łowieckiego Województwa Wileńskiego podaje do wiadomości że pierwsza składka roczna członkowska wynosi zł. 22 (17 zł. plus 5 zł. wpisowego).

Adres Tow. Łowieckiego Województwa Wileńskiego:

Wilno, Mickiewicza 42, tel. 1084. Konto P.K.O. 81.352.

Skład zarządu: Bolesław Świętorzecki, Józef Lastowski, Roman Ruciński, Michał Pawlikowski, Józef Bolesław Robakowski.



Stojaki. Por. M. Bohdanowicz z zabitym wilkiem.

Czy są rysie w puszczy Rudnickiej? (Sprostowanie).

Pan Juljan Ejsmond, redaktor „Łowca Polskiego“ i „Kalendarza Myśliwskiego“ nadał na ręce p. B. Świętorzeckiego, prezesa Tow. Łow. Woj. Wil. i członka Komitetu redakcyjnego dodatku łowieckiego, sprostowanie tej treści:

„Nawiązując do notatki p. H. Koana z Zegaryna, który zaprzecza wiadomości o przebywaniu rysie w Puszczy Rudnickiej, ironizując na ten temat, pośpieszam zaznaczyć, iż w Kalendarzu Myśliwskim podałem tę wiadomość na zasadzie informacji odpowiednich władz leśnych, co było wogóle jedyną podstawą wszelkich danych statystycznych, podanych w Kalendarzu Myśliwskim na r. 1929. Jednocześnie zaznaczyć muszę, iż uważam za niepoważne ironizowanie na temat danych statystycznych opartych na poważnych źródłach; dane takie można uzupełniać, ale jedynie w tonie rzeczowym. Inne traktowanie sprawy obniża poziom dyskusji.

Juljan Ejsmond.

Regionalne dziełko łowieckie.

Dowiadujemy się, że w połowie maja r. b. nakładem Sekcji łowieckiej Policijnego Klubu Sportowego w Wilnie ukaże się książka p.t. „Prawo łowieckie — Komentarz dla Województw Wschodnich“. Autorem tej książki jest mag. praw i radca wojewódzki w Wilnie p. M. Pawlikowski. Książka ta będzie zalecona przez pana wojewodę wileńskiego do użytku urzędników starościnnych i samorządowych oraz przez Komendę Główną P.P. — do użytku funkcjonariuszów policji. Zawiera ona prócz obszernych komentarzy do wszelkich budzących lub mogących wzbudzić wątpliwości przepisów prawa łowieckiego, pełne teksty — prawa łowieckiego, wszystkich rozporządzeń wykonawczych oraz t. zw. kalendarz myśliwski t. j. poglądową tabelkę graficzną czasów ochronnych na zwierzyne. Czytelnik znajdzie w tej książce odpowiedzi na pytania: jak tworzą się obwody łowieckie? Kto ma prawo polować z gońcem? i t. d. Zaznacza się, że książka jest napisana przede wszystkim pod kątem potrzeb i warunków Województw Wschodnich, uwzględniając odmienną strukturę gospodarczą ziem naszych, co zwłaszcza w kwestii tworzenia obwodów łowieckich jest nader aktualne. Cena książki, będącej obecnie w druku, nie jest jeszcze ustalona, nie przekroczy ona jednak, bez kosztów przesyłki, kwoty 1 zł. 70 gr., przy czem zawierac będzie około 120 stron druku w formacie małej 80. Czysty zysk ze sprzedaży tej książki przeznaczony jest na cele kulturalne wspomnianej Sekcji łowieckiej. Zamówienia należy kierować pod adresem: Wilno, św. Jańska 3. Policijny Klub Sportowy.

Właściciel Konta.

Konto P.K.O. Nr.